



Kryminał z myszką

54

Malwersanci

Anna

Kłodzińska

Anna Kłodzińska

MALWERSANCI

Kryminał z myszką – Tom 54

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-48-5

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsza publikacja: dziennik „Kurier Polski” (w odcinkach), rok 1961

Rozdział 1

– A ja gwizdzę na dyrektora. Rozumiesz?

Wilczyński kopnął ze złością kosz od śmieci i wpakował ręce w kieszenie spodni. Lewa połowa twarzy drgała mu nerwowo.

– Nie odstawiaj bohatera – mruknął Adamczak, przyglądając mu się z ironicznym uśmiechem. – Ty jesteś odważny tylko wobec nas, a przed dyrektorem... – umilkł, bo Wilczyński poderwał się i schwycił go za krawat.

– Co przed dyrektorem! – syczał, czerwony z gniewu. – No, powtórz... Co przed dyrektorem? Bo ci tu ten...

– Panowie, na miłość boską! – zawołał przestraszony starszy ekonomista Namitkiewicz. – Jesteśmy w biurze, a nie w knajpie. Panie Jasiu, niechże pan natychmiast go puści. Do czego to podobne. Wejdzie ktoś z interesantów i... Niech pan siada i uspokoi się. Kolega Adamczak nie chciał z pewnością...

– Chciałem – przerwał gniewnie Adamczak, rozcierając sobie szyję. – Niech pan mówi za siebie. Chciałem mu raz wygarnąć prawdę. Przed nami... a zresztą, co mnie to obchodzi – zakończył niespodziewanie, słysząc znajome kroki w korytarzu. Drzwi otworzyły się i stanął w nich dyrektor biura, Gilewski.

– Panie magistrze, niech pan pozwoli do mnie na chwilę – zwrócił się do Namitkiewicza. – I niech pan weźmie ze sobą teczkę dostaw za wrzesień.

– W tej chwili, panie dyrektorze – ekonomista podniósł się z krzesła i sięgnął do stojącej za nim szafy. – Jakaś kontrola? – zapytał, wyjmując zieloną aktówkę.

– Nie, prasa – uśmiechnął się Gilewski, przyglądając się ze zdziwieniem poczerwieniałej twarzy Wilczyńskiego. – Czy pan nie chory? – spytał podchodząc do jego biurka.

Wilczyński zerwał się i uśmiechnął z wysiłkiem.

– Nie, panie dyrektorze – odparł, poprawiając leżące przed nim papiery. – Czuję się zupełnie dobrze.

Czuł na sobie ironiczny wzrok Adamczaka. „Stłukę mu mordę” – pomyślał z wściekłością.

– Zdaje się, że pan ma gorączkę – dodał jeszcze dyrektor. – Jakby pan się źle czuł, to proszę iść do ambulatorium, lekarz wyda zwolnienie. Niech mi pan tu grypy nie roznosi – rzucił z uśmiechem i wyszedł. Tuż za nim, z teczką pod pachą, wysunął się Namitkiewicz.

– Świetny człowiek – westchnęła z drugiego pokoju jedna z pracowniczek. – Takiego drugiego dyrektora, jak nasz, to ze świecą szukać.

– Prawda – przyświadczyła woźna, rozstawiając na biurkach szklanki z herbatą. – Jak we środę czterech zostało na garbunkowym godzinę dłużej, bo trzeba było bębny oczyścić, to przyszli na drugi dzień do dyrektora, że to niby tak długo pracowali i żeby im do kart wpisać. A dyrektor – sama słyszałam, jak raz drzwi na korytarz były otwarte, a ja brałam się za sprzątanie – więc dyrektor mówi im tak: „Moi ludzie kochani, do kart to wam księgowy pewnie wpisać nie da, bo czyszczenie bębnow trzeba było zrobić tak czy tak, to jest wasz obowiązek, ale żebyśta stratni nie byli, to ja wam tu od siebie coś dam”. Wyszli potem na korytarz, a ja pytam Walczaka: „Dużo wam dał?” A Walczak mówi: „dwa patyki” i uśmiecha się. Znaczący się, dwa tysiące. No, sami powiedzcie, który dyrektor dałby tak ze swojego dwa tysiące robotnikom? – Co?... Pan do kogo?

Mężczyzna, który od paru minut stał za jej plecami i cierpliwie czekał końca tej tyrady, odpowiedział grzecznie:

– Do pana Wilczyńskiego.

– W tamtym pokoju. Dla pani sekretarki herbatkę?

– Proszę. Tylko mocną. Albo nie, pani Ząbik, niech mi pani da samego wrzątku, zrobię sobie neskę.

Obcy mężczyzna wszedł do następnego pokoju, a dojrzawszy Wilczyńskiego, przywitał się z nim serdecznie.

– Aż tu trafiłem, jak pan widzi – roześmiał się, kładąc na krześle brązową teczkę i kapelusz.

– Ciągle ta sama sprawa? – spytał Wilczyński, częstując go papierosem. Był zadowolony, że nieoczekiwanie wizyta przerwała jego kłótnię z Adamczakiem.

– Tak. Okazuje się, że ten facet pracował kiedyś w Centrali Garbarskiej.

– U nas? – zdziwił się referent. – To musiało być już bardzo dawno. Nie pamiętam nikogo o takim nazwisku.

– Ach, no oczywiście. Przecież to było dziewięć lat temu. Pan był chyba wówczas jeszcze w szkole.

– No, taki młody to znów nie jestem – roześmiał się Wilczyński. – Chociaż... słowo daję, że dziewięć lat temu byłem dopiero w jedenastej klasie. Ma pan rację inspektorze.

Inspektor z Państwowego Biura Kontroli, Tadeusz Kowalski, przyglądał mu się z rozbawieniem. Jego szczupła twarz o ostrych rysach, złagodzonych miłym uśmiechem, miała koloryt żółtawy jak kość słoniowa, a pod oczami i obok ust biegła gęsta sieć drobniutek zmarszczek.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, do pokoju wpadł raczej niż wszedł blady, łysawy blondyn w niebieskiej marynarce z welwetu.

– Jasiu, dasz papierosa? – zwrócił się do Wilczyńskiego. – O, przepraszam. Nie wiedziałem, że masz interesanta.

– Proszę – Kowalski podsunął mu papierośnicę.

– Serdecznie dziękuję. Odwdzięczę się przy okazji. Pan pozwoli, Łaciak, z oddziału gospodarki materiałowej.

– Kowalski.

Podali sobie ręce.

– Ładna pogoda dzisiaj, co?

– Owszem – uprzejmie przytaknął inspektor.

– Co to ja... tego. A Kolasińskiego pan zna?

– Słuchaj, może byś mi nie przeszkadzał w rozmowie, dobrze? – powiedział Wilczyński niechętnie.

– Już uciekam. Można jeszcze na drogę? – wyciągnął z otwartej papierośnicy dwa „Grunwaldy”, przytknął błazeńsko palec do czoła i wyszedł.

Poprzedniego wieczoru był w Teatrze Dramatycznym na „Uczcie morderców”, cały czas chichotał jak szalony i teraz usiłował powtórzyć tamte dowcipy. Każdego z napotkanych kolegów pytał z udanym roztargnieniem: „Kolasińskiego pan zna?”. Gdy słyszał odpowiedź: „nie znam”, pytał, dusząc się ze śmiechu: „a kogo?” i szedł dalej. Za czwartym razem jednak ktoś odparł: „Znam” i Łaciakowi zabrakło konceptu. Zastanawiał się, co by wówczas odpowiedział autor ustami swego bohatera, ale ograniczona wyobraźnia nie podsuwała mu nic interesującego.

Wilczyński zaprowadził inspektora do działu kadr i pożegnawszy go, przystanął w zamyśleniu na korytarzu. Miał kłopoty natury finansowej i zastanawiał się, od kogo by pożyczyć dwieście czy trzysta złotych. Przez chwilę przyszedł mu na myśl Kowalski, ale odrzucił ten projekt. Mimo wszystko znali się jednak zbyt mało.

Tak, ale wiedział, że Maria nie ma już pieniędzy na dom. Bieliznę z pralni można było od biedy wykupić pierwszego, pozostaje rachunek za światło i gaz. No i jedzenie. Do wypłaty jeszcze cały tydzień.

– Co pan taki zamyślony, panie Wilczyński? – usłyszał czyjś głos nad uchem. Wzdrygnął się i odwrócił głowę. Przy nim stał Olański, majster oddziału wykańczalni, i uśmiechał się przyjaźnie.

Młody referent popatrzył na niego z roztargnieniem i nagle pomyślał, że taki majster, co zarabia blisko trzy tysiące, powinien mieć przed pierwszym parę setek w portfelu. Zawstydził się jednak i prędko odpędził pokusę. Nie zdarzyło się, żeby pracownicy biurowi pożyczali od „tych z produkcji”. W gruncie rzeczy, pomimo dużo niższych zarobków, uważali się za coś lepszego.

– Nic, tak się zamyśliłem – mruknął i wrócił do swego pokoju.

Inspektor Kowalski nie załatwił w kadrach swojej sprawy, bo kierownika nie było. Podstemplował więc przepustkę i wyszedł na podwórze, błądząc między stosem szklanych balonów po kwasie, kadziami z garbnikiem i blado-niebieskimi ścinkami mokrej skóry. Wreszcie zobaczył nad starym, czerwonym murem przesuwający się pałak tramwaju i skierował się w stronę portierni.

Lubił tak błądzić, trochę umyślnie, po obcych fabrykach i biurach, dostrzegając w nich przy tej okazji to i owo, z czego później niejedyn kierownik musiał się gęsto tłumaczyć.

Brama przy portierni była szeroko otwarta, stał przed nią ciężarowy samochód pełen skór. Inspektor Kowalski zbliżył się od niechcienia i rzucił na nie okiem. Z grubsza biorąc, były to jakieś trzy tony skóry twardej. Dojrzał krupony i boki, niedbale nakryte zielonkawą plandeką. Na samochodzie widniał napis: Warszawskie Zjednoczenie Handlu Obuwiami.

W portierni tęgi mężczyzna w zatłuszczonej kurtce odbierał już i chował swoje papiery, pozostawiając tylko przepustkę.

– Przepraszam... – szepnął inspektor, potrącając silnie łokciem grubego konwojenta. Ten złapał się za ramię, wypuszczając spod pachy teczkę. – Bardzo pana przepraszam – schylił się błyskawicznie i podniósł teczkę, podając ją tęgiemu mężczyźnie z miłym uśmiechem.

– Mógłby pan uważać – odburknął tamten, pocierając bolące ramię. Obrzucił go złym wzrokiem, wepchnął teczkę pod pachę i wyszedł. Po chwili ciężarówka wytoczyła się za bramę i znikła.

– Co pan tu robi? – spytał portier podejrzliwie, drapiąc się po zarośniętym karku. – Przepustkę pan ma?

Kowalski podał mu papierek, powiedział grzecznie: do widzenia i wyszedł na ulicę.

Miał sporo do myślenia na temat pobytu w przedsiębiorstwie. Teczka konwojenta wypchana była pociętymi na kawałki kruponami, najlepszej części twardej skóry podeszwowej.

Szedł wzdłuż muru Centrali, minął przystanek tramwajowy i ocknął się dopiero na rogu ulicy Świerczewskiego, gdy ogarnął go szum pojazdów i gwar spieszącego się tłumu.

*

Wilczyński wszedł do tramwaju, niedbale okazał konduktorowi miesięczny bilet i wcisnął się w kąt platformy, zapinając szczelnie płaszcz, bo przez otwarte drzwi leciał chłód.

Nie dostał pożyczki. Właściwie, przed pierwszym pieniądze miał zawsze tylko Namitkiewicz, ale z zasady nie pożyczał – no i Adamczak, ale do niego Wilczyński nie mógł się zwrócić, żałował teraz, że nie poprosił jednak inspektora. Chyba by nie odmówił.

Odechciało mu się powrotu do domu, na obiad. Wiedział, że Maria nie od razu zapyta o pieniądze, że zrobi to później nieśmiało, z przepaszającym uśmiechem. I to właśnie było najgorsze. Już by chyba wolał, żeby krzyczała, robiła awantury. Mógłby wówczas również krzyczeć na nią, że widocznie za dużo wydaje – co oczywiście było nieprawdą – że on nie jest w stanie nastarczyć na cztery osoby, i tak dalej. Mógłby potem trzasnąć drzwiami, że oto ma

już dosyć wszystkiego, i tego domu z awanturującą się żoną, i wiecznych krzyków o pieniądze...

Tak, ale Maria nigdy nie krzyczała ani nie dopominała się. Prowadziła dom tak oszczędnie, jak tylko się dało, cerowała i przerabiała sama bieliznę i ubrania dzieci, a w dodatku wieczorami przygotowywała się do egzaminu na zaocznych kursach księgowości i stenografii. Robiła wszystko, żeby mu pomóc, a on nie mógł w żaden sposób zrobić jej sceny i po męsku wynieść się z domu na cały wieczór. Niech to diabli...

W gruncie rzeczy przecież ją kochał i po prostu nie mógł dać sobie rady z pieniędzmi. Maria zapewniała go wprawdzie, że jeszcze dwa, trzy miesiące, i ich sytuacja się zmieni. Ona zacznie pracować, dorobi te brakujące półtora tysiąca, potem może i więcej.

– Znów się spotykamy – powiedział ktoś, dotykając jego ramienia.

Spojrzał bokiem. To był Olański. Jechał widocznie razem z nim już od przystanku obok Centrali, a on wcale tego nie zauważył.

– Widzę, że się pan czymś trapi – rzekł majster półgłosem. – Na frasunek dobry trunek. Może wstąpimy na małą przekąskę?

Wilczyński poczuł nagle, że ma szaloną ochotę na kieliszek wódki i – powiedzmy – „tatarą” albo marynowanego śledzika. Oczy mu rozbłysły i natychmiast przygasły. Przecież nie ma...

– Ja pana zapraszam – Olański obserwował go uważnie. – Cóż to, chyba nie wstydzi się pan zjeść i wypić razem z majstrem?

– Głupstwa pan mówi, panie Wacławie – odparł referent zmieszany.

– I nie hańba to dla pana przyjąć zaproszenie. Zresztą, nie idziemy przecież na jakiś wielki ochłaj – roześmiał się. – Pan jada obiady w domu?

Wilczyński przytaknął.

– No, widzi pan. I ja też. A to będzie tylko taka mała przekąska.

– Mój ojciec był garbarzem – bąknął referent, ni w pięć ni w dziewięć, kiedy wysiedli na placu Konstytucji i szli w stronę biur „Orbisu”.

– Co pan powie? – zdziwił się grzecznie Olański. – W Warszawie?

– Nie. W Krakowie. Ale zmarł podczas okupacji. Dokąd idziemy?

– Do „Małego Smakosza”. To pan przejął po ojcu fach, panie Wilczyński, co? Tylko za biurkiem to pan wiele nie zarobi. No, proszę – popchnął go przodem, gdy stanęli przed barem. – Chodźmy od razu do drugiej salki, tam swobodniej. Czekał pan, ja tu zaraz co... – rozglądał się po półmiskach z wędliną i rybami, stojących za szklaną gablotą. – Idź pan i zajmij miejsce przy blacie, ja przyniosę co trzeba.

Po paru minutach przytасzczył dwie „setki”, talerzyk z pasztetem i schabem na zimno, widelce.

– Zaraz, jeszcze chlebek...

Wrócił z pieczywem. Ujęli za stopki, wypili. Wilczyński poczuł miłe ciepło, rozchodzące mu się po ciele. Sięgnął po widelec, dziabnął kawałek schabu, nałożył trochę musztardy. Majster starannie rozsmarował pasztet na kawałku chleba.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Na drugą nogę... – mruknął Olański i odszedł do bufetu.

Referent słabo zaprotestował, ale tamten machnął ręką niecierpliwie. Oprócz wódki przyniósł jeszcze dwa kawałki faszzerowanego szczupaka.

– No, co pan dziś chodził taki zatroskany? – zagadnął życzliwie, kiedy wypili drugą porcję. – Ma pan jakieś kłopoty?

Wilczyński westchnął.

– Kto ich nie ma – odparł oględnie.

– Pewnie. Zwłaszcza przed pierwszym.

– Oj, tak! – wyrwało się referentowi z głębi serca.

Olański położył mu rękę na ramieniu. Była to duża, silna ręka z krótkimi mocnymi palcami, pełna blizn i śladów farby.

– Panie Jasiu... niech pan się nie gniewa, że ja tak do pana, ale pracujemy przecież w jednej instytucji. Więc, panie Jasiu, proszę posłuchać: na kłopoty zawsze jest rada. A to – szybkim ruchem wyjął z kieszeni banknot pięćsetzłotowy i wepchnął mu do płaszcza – to pan mi odda po pierwszym. Ale tym następnym pierwszym – zaśmiał się.

Wilczyński poczerwieniał i gwałtownie sięgnął do swojej kieszeni, chcąc wyjąć banknot, ale majster mocno przytrzymał jego rękę.

– Niech pan nie robi ceremonii – rzekł szorstko. – Gdybym nie miał i nie mógł, to bym tego nie zrobił. Zwyczajna pożyczka, rozumiesz pan? I nie ma o czym gadać.

– Bardzo panu dziękuję – szepnął referent, przekładając pieniądze do portfela. Był uradowany i zły jednocześnie. Rozejrzał się dyskretnie, czy w barze nie ma przypadkiem któregoś z kolegów i czy nie widział tej pożyczki.

– Nie ma, nie ma – uspokoił go Olański, który spostrzegł te manewry. – Niech pan się nie obawia. To zostanie tylko między nami.

– Pan jest bardzo dobry – rzekł Wilczyński w nagłym porywie wdzięczności. – Miałem właśnie takie kłopoty... – urwał.

– Bo pan za mało zarabia – rzekł majster, skupiając na pozór całą uwagę na szczupaku. – Po co pan siedzi za biurkiem?

– Nie znam się na garbowaniu – odparł referent z lekkim zdziwieniem. Przelotnie pomyślał, że widocznie w produkcji brak ludzi i Olański chce go namówić do pracy fizycznej.

– A na skórze pan się zna? Czy całkiem nic?

– No, wiem co jest mizdra i lico... – zaczął niepewnie – wiem co oddział mokry i co się robi w wykańczalni... byłem tam parę razy.

– Zgadza się – przerwał majster. – Widziałem pana. A w magazynie skór surowych był pan kiedy?

– Chyba raz czy dwa.

– Skórom pan się przyglądał?

– No, leżą tam na półkach... takie sztywne, solone. Jeszcze ze szczecina i włosiem.

– Sztywne, solone – powtórzył Olański i uśmiechnął się. – Jak śledzie, co? – Klepnął go po ramieniu. Roześmieli się.

– Myślę, że po tygodniu da pan sobie już radę – powiedział lekko, przyglądając mu się uważnie.

– Po tygodniu? Jak to: po tygodniu? Czego?

– Próbną pracę w magazynie skór surowych. Dlaczego pan tak na mnie patrzy? Ile pan zarabia jako referent?

– Tysiąc siedemset z groszami – odparł Wilczyński machinalnie. Czuł lekki szum w głowie, ale nie było to przykre.

Olański skrzywił się pogardliwie.

– Tysiąc siedemset? Nędza. Ma pan młodą żonę, dwoje dzieciaków, jak wy właściwie żyjecie?

Wilczyński nie zwrócił uwagi, że tamten wie o nim widać niejedno.

– Mam jeszcze dodatek rodzinny. Żona się przygotowuje do egzaminu, będzie niedługo pracować, to mi pomoże.

– Głupstwo! – odrzekł łagodnie Olański, któremu też zaczęło szumieć w głowie. – I pan chce pozwolić, żeby taka ładna, młoda kobieta jak pańska żona mordowała się i w domu, i w biurze? A dziećmi kto się zajmie, pytam pana? Opieka społeczna? Napijmy się jeszcze.

Ale Wilczyński powstrzymał go stanowczym ruchem ręki.

– Nie, ja już nie. Już dosyć.

– Dobra, niech będzie dosyć – zgodził się majster. – Zjedz pan tylko tego szczupaka.

– Zaraz, więc co z tym magazynem... pan myśli, że ja mógłbym? No, przecież ja tego nigdy w życiu nie robiłem. A zresztą, czy magazynier zarabia więcej ode mnie? Chyba nawet mniej.

– To zależy, kto jest magazynierem – odparł Olański z naciskiem.

Patrzyli na siebie przez chwilę bez słowa. „A więc to tak – pomyślał referent. – To o to chodzi...” Nagle zrobiło mu się duszno, machinalnie rozluźnił węzeł krawata. Nie był do tego stopnia naiwny, aby nie zorientować się, o jakich sprawach będą mówić za chwilę, jeżeli natychmiast nie przerwie tej rozmowy.

Nerwowym ruchem wyciągnął paczkę „Giewontów”, wyjął jednego i zapalił. Podsunął pudełko majstrowi, ale ten potrząsnął przecząco głową. Zarzucił palenie od paru lat, szkodziło mu na płuca.

– Powiedzmy na początek jakieś trzydzieści tysięcy złotych – odezwał się niemal szeptem, pochylając w stronę Wilczyńskiego siwą, kanciastą głowę. – Niech pan dobrze pomyśli, panie Jasiu: trzy-dzieś-ci ty-się-cy. Jest w domu pralka, przestaje pan taszczyć do pralni miejskiej tobół z brudną bielizną. Jest telewizor – już widzę, jak pańskie dzieciaki się cieszą. Jest dla pana elegancki, ładnie uszyty garnitur – obrzucił wymownym spojrzeniem zniszczone ubranie referenta – a dla pani Marii futerko na zimę. Starczy jeszcze na odkurzacz, elektryczną froterkę i ubranka dla dzieci. Niech pan dobrze pomyśli, panie Jasiu – szeptał tuż nad jego uchem. – Drugi raz taka okazja może się już nie powtórzyć...

– Czego pan właściwie ode mnie chce? – spytał Wilczyński głuchym głosem. Papieros dygotał w jego trzęsących się palcach.

– Dla pana chcę dobrze i dla pańskiej rodziny. Bo mi żal patrzeć, jak pan się na tej gołej pensji morduje. Czeka pan na awans? Za dwadzieścia lat może pan się dochrapać stanowiska dyrektora. Cztery kawałki z groszami. I to wszystko. Za dwadzieścia lat będzie pan już miał pod pięćdziesiątkę. Zaprańcie pan spokojnego życia, własnego małego domku z kawałkiem ogródka. A ja panu mówię, panie Jasiu, żeby pan i trzydzieści lat z tej pensji odkładał, to panu nigdy w życiu na domek nie starczy. Nigdy!

Wilczyński milczał. Każde słowo majstra raniło go jak uderzenie. Chciał wołać, że to nieprawda, że potrafi kiedyś zarobić dużo, tyle ile będzie chciał, że jest zdolny i pracowity. A jednocześnie przed oczami stanęła mu przygarbiona postać Namitkiewicza, magistra praw i ekonomii, który po trzydziestu latach pracy otrzymuje dwa tysiące złotych pensji i jakiś tam drobny dodatek za wysługę lat, czy za wyższe studia. Chciał tłumaczyć majstrowi, że zarobki małe, bo państwa jeszcze nie stać... bo kraj dopiero zaczyna się dorabiać... bo nasze społeczeństwo...

– Społeczeństwo – mruknął i przełknął ślinę. – Jeszcze nie możemy... – urwał, bo tamten patrzył na niego ironicznie.

– Niech się pan troszczy o swoje małe społeczeństwo, o swoją rodzinę – odparł z uśmiechem politowania. – A te wielkie słowa, to możesz pan sobie wypisać na ścianie, mnie nie musisz pan agitować. Dalej swego domu, to ja nie patrzę.

– Więc czego pan ode mnie chce? – powtórzył Wilczyński ze zdenerwowaniem w głosie.

– Najpierw niech pan mi powie: czy chce pan dobrze zarabiać?

– Jak?

– O pomysły niech pana głowa nie boli. To już nie pańska rzecz. Krótko i jasno: chce pan czy nie?

Referent zacisnął szczęki. Czuł, że w tej chwili coś się w nim przełamuje, że bezpowrotnie oddała się od drogi, którą szedł dotychczas. Przemknęła myśl, jak błysk: a co na to Maria? – ale odpędził ją niecierpliwie. Jeżeli teraz powie: „nie”, straci raz na zawsze okazję, tak majster przecież powiedział. On – czy oni – pewnie oni, będą to robić bez niego, za jego plecami, będą się po cichu śmiać, że tchórz, kretyn, idiota...

Olański obserwował jego twarz i mrużył oczy. Zrozumiał, że teraz już może mówić bez ogródek.

– Czego ja od pana chcę? – rzekł z wolna, nie spuszczać z niego wzroku. – Jutro czy pojutrze pójdzie pan do kierownika administracyjno-gospodarczego, Michalaka i poprosi pan o przeniesienie na stanowisko magazyniera skór surowych.

– Przecież tam jest Zawadzki.

– Zawadzki odchodzi do Garbarni-B. Niech pan słucha, panie Jasiu. Michalak albo od razu się zgodzi, albo będzie udawał, że się namyśla. Jak pan już z nim dojdzie do porozumienia to da mi znać, a ja poduczę pana trochę, co trzeba robić w magazynie. Pokażę panu różne gatunki skór i jak wygląda obieg dokumentacji. Odbiór, wydawanie do produkcji – to wszystko. Jak się pan trochę wprawi, poprosi pan o przeniesienie do magazynu skór gotowych.

– Po co?

– Dzieciak z pana, panie Jasiu. Po to, aby zarobić te trzydzieści tysięcy. A potem więcej.

– A w skórach surowych nie można?

Olański roześmiał się i poklepał go po plecach.

– Widzę, że pana ciągnie do gotówki, co? Nic się pan nie martw, można i w surowych, ale to inna sprawa. Sam pan zobaczy.

– Panie Waławie, a w razie... – Wilczyński zająknął się. – A to wszystko – zrobił ręką nieokreślony ruch – jeżeli ktoś... no, pan rozumie?

– Nie bój się pan o nic. Nie takie głowy o tym myślą, jak pańska i moja – odparł Olański poważnie. – Interes murowany, mucha nie siada. Wpadka może być tylko wtedy, jeżeli by pan komukolwiek...

– Taki głupi to ja nie jestem – rzucił ostro. – Siebie będę narażał?

– No, to w porządku. A komukolwiek, panie Jasiu, to znaczy, że żonie też nie wolno.

– O przeniesieniu? To byłoby trudno ukryć. Może się dowiedzieć od kogoś, u nas bywa trochę osób z Centrali.

Olański zachnął się niecierpliwie.

– Jasne, że o przeniesieniu pan żonie powie, ale dopiero wtedy jak już pan tam będzie. To nie ma być pański projekt, rozumie pan? To ma być przeniesienie służbowe.

Wilczyński słuchał ze zmarszczonymi brwiami i skrzywił się.

– Bez sensu – odparł. – Kogo kiedy z biura służbowo przenieśli do produkcji?

– No, więc powie jej pan, że panu zaproponowali.

– A ja się zgodziłem? Po jaką cholere?

– Bardzo proste. Mówi pan, że żona się uczy, chce zarabiać i panu pomagać, tak?

– Co to ma z tym wspólnego?

– Zaraz powiem. Otóż pan również chce, żebyście mieli więcej pieniędzy, więc przenosi pan się do produkcji, bo tam płacą wyższe wynagrodzenie. Brak ludzi, magazynier odszedł gdzie indziej, zwrócił się do pana, a pan się zgodził. Jak pański ojciec był garbarzem, to czego pan nie ma iść w jego ślady?

– Jakbym chciał naprawdę iść w jego ślady – odparł z wolna Wilczyński – to bym trzymał się od takich jak pan z daleka. Mój ojciec był uczciwy. Aż do przesady uczciwy.

– Nie będziemy teraz mówić o pańskim ojcu, niech mu ziemia lekką będzie – westchnął majster, ocierając czoło z potu, bo w lokalu zrobiło się gorąco. – Więc co, panie Jasiu? Umowa nasza stoi?

Referent w milczeniu wyciągnął do niego rękę.

W umywalni woda ściekała bardzo wolno. Maria wyjęła z szafki gumowy przepychacz na źle zheblowanej drewnianej ręczce i drzazga weszła jej w palec. Syknęła gniewnie.

– Heniusz przynieś mi igłę! – krzyknęła w stronę pokoju, gdzie bawiły się dzieci.

Siedmioletni Henryk przyszedł do łazienki z igłą i powiedział z wyrzutem w głosie:

– Mama, dlaczego mnie nie zawołałaś? Ja umiem przepychać.

– To za ciężkie dla ciebie – odparła, wydłubując z palca drzazgę. Owinęła rękę chusteczką i zabrała się do roboty. Woda prychała, bulgotała, a potem szybko uciekła w głąb rury.

– No i spokój – odetchnęła Maria. Przeszła do kuchni, zmniejszyła gaz pod kartoflami i spojrzała na zegarek. – Zaraz tatuś przyjdzie – mruknęła raczej do siebie niż do Henryka, który sapiąc z przejęcia wycierał w łazience podłogę.

W godzinę później podgrzała jarzynową zupę i posadziła dzieci do stołu.

– A tatuś? Kiedy przyjdzie? – spytała Basia, patrząc ze zdziwieniem na puste krzesło po prawej stronie.

– Tatuś ma pewnie jakieś zebranie, przyjdzie później. Jedz Basiula. Nie oblizuj łyżki, fe!

– Mama, siadaj i jedz. Znowu schudniesz – odezwał się Henryk grubym głosem. Był w tej chwili tak podobny do ojca, że Maria wybuchnęła śmiechem.

– Zaraz siadę, tylko odcedzę kartofle.

Zupa, klops z marchewką i ziemniakami dawno już były zjedzone, Henryk z zapalem stawiał w zeszytce koślawe litery, a Basia spała, gdy wreszcie u drzwi rozległ się trzykrotny, krótki dzwonek.

– No, nareszcie – szepnęła Maria, wychodząc do przedpokoju. – Co to było, jakaś narada? – podsunęła mu twarz do pocałunku i ze zdziwieniem poczuła zapach alkoholu.

– Czy koleżeńskie imieniny? – pogroziła żartobliwie.

Pocałował ją z roztargnieniem, nie patrząc w oczy.

Zdjął płaszcz i zniknął w łazience. Dopiero stamtąd, namydlając starannie ręce, zawołał ze sztuczną swobodą:

– Prawie zgadłaś. Jeden z kolegów miał wczoraj imieniny i zaprosił nas dzisiaj na taki niby obiad, do baru. Wiesz, zimne przekąski, trochę wódki, kawa. Nie mogłem się wykręcić.

– A dlaczego miałbyś się wykręcać? Masz w gruncie rzeczy tak mało rozrywek i przyjemności... Tylko czy was nie struli tam w tym barze, przekąski były świeże? – zatroszczyła się, stając we drzwiach łazienki i patrząc jak wyciera ręce w gruby, puszysty ręcznik. – Dobrze te wietnamskie włochacze, prawda?

Kupiła niedawno w Cedecie dwa kolorowe bawełniane ręczniki wietnamskiej produkcji i była z nich bardzo dumna. Zaoszczędziła na nie, zbierając podczas urlopu grzyby, które potem sprzedawała sąsiadce.

– Dobrze – pochwalił, po raz chyba piąty. – Nie dawaj mi obiadu, zjem wieczorem. Jestem najedzony.

– To się prześpij, a ja pozmywam.

Pogładził ją przelotnie po jasnych włosach i przeszedł do pokoju. Był duży, o dwóch oknach i dość wysoko umieszczonym suficie, do południa pełen słońca. Okna wychodziły na mały skwerek, dzielący ten dom od następnego bloku i latem dolatywał stamtąd zapach trawy i kwiatów. Rzecz jasna, o parę metrów dalej hałasowało już wielkie miasto, przebiegały autobusy i samochody, wystarczyło więc tylko wychylić się z okna, aby poczuć w nozdrzach odór spalonej benzyny, a na ustach smak kurzu. Tym niemniej, było to wyjątkowo ciche i przyjemne mieszkanie.

Oczywiście, gdyby się miało własny domek z ogrodem...

Wilczyński wyciągnął się na tapczanie i przymknął oczy. Natychmiast stanęła przed nim wizja tego domku. Na dole byłby duży pokój jadalny, taki z radiem i telewizorem, gdzie

siedzieliby się wieczorami, słuchało i oglądało. Obok przejście do kuchni, łazienka... nie, łazienka chyba na górze. I na tej górze dwa pokoje: jeden dla niego z Marią, drugi dla dzieci. Gdy Basia już będzie duża, dostanie ten pokój sama dla siebie, a Henryk będzie spał na dole. Dom będzie miał naturalnie garaż. No, bo gdzie postawią samochód?... Nieduży, najlepiej fiat-600 albo syrenkę. Będzie można na urlop wyjeżdżać z całą rodziną na Mazury albo w jakieś lasy. Maria tak lubi las.

– Marysiu – zawołał półgłosem w stronę kuchni. – Chciałabyś mieć własny domek?

– A pewnie – odparła, stojąc w progu ze ścierką w ręce. – Może wygrałeś w totka?

Drgnął i spojrzał na nią przelotnie. Usiadł na tapczanie, sięgając po papierosa. To była myśl...

– Jeszcze nie. Ale jak wygram, postawimy sobie domek. I kupimy samochód.

Usiadła przy nim, patrząc mu w oczy z uśmiechem.

– Marzycielu – szepnęła. – Wygraj najpierw tyle, żebyśmy nie musieli pożyczać przed każdym pierwszym.

– Ach, prawda – wstał i wyjął z marynarki portfel. – Proszę cię – podał jej banknot pięćsetzłotowy.

– Aż tyle? – zdziwiła się. – Wziąłeś a conto pensji?

– Nie, kolega mi pożyczył. Nie bój się, mogę oddać dopiero pierwszego grudnia, a nie listopada.

– O, to doskonale – ucieszyła się, chowając pieniądze do kieszeni plastikowego fartucha. – W grudniu może dostaniesz premię świąteczną czy jakiś dodatek, prawda?

– Jakoś tam będzie – odparł z roztargnieniem. Przyciągnął ją do siebie i długo całował przymknięte powieki. – O nic się nie martw – mruknął. – Zobaczysz, że będzie nam coraz lepiej.

– Ja się nie martwię. W grudniu zdaję egzamin i chyba od stycznia już będę mogła pracować. Iza, wiesz, ta z Ministerstwa Finansów, obiecała mi, że na pewno u nich w departamencie da się coś załatwić. Muszę tylko już niedługo zacząć starać się o przedszkole dla Basi. W ciągu roku mogą być trudności. Chciałabym zarobić półtora tysiąca. Właśnie tyle nam brak, żeby lepiej zjeść i kupić coś więcej z ubrania i bielizny. Pościel też się już drze, słabe teraz to płótno...

Patrzył na nią, jak się przed nim tak cichutko spowiadała ze swoich pragnień i kłopotów, gładził delikatnie jasne pasemka włosów nad uszami i czołem. Poczuli, że gdyby mógł jej wszystko powiedzieć – ach, gdyby mógł jej powiedzieć i gdyby ona się na wszystko zgodziła! Ale za dobrze ją zna. Czasem myślał, że Maria była tak bezwzględnie surowo uczciwa jak jego ojciec. Kiedyś zabrakło w sklepie papieru maszynowego, a ona ćwiczyła u jednej z koleżanek pisanie na starym Remingtonie. Wspomniała mu o tym, więc na drugi dzień przyniósł jej z Centrali kilkadziesiąt arkuszy. Wziął po prostu z sekretariatu, nikt się u nich nie rozliczał z papieru, każdy brał ile potrzebował i ile chciał. Maria ucieszyła się i spytała, prawie machinalnie, w którym sklepie dostał papier. Odparł ze śmiechem, że wziął z Centrali. Mieli potem dużą, nieprzyjemną dyskusję na temat „moje – cudze”, zakończoną kategorycznym stwierdzeniem Marii: „Ja tego nie wezmę”. Rano włożyła mu papier do teczki i przypilnowała, aby nie wyjął i nie podrzucił jej gdzieś do szafy. Był zły i rozśmieszony zarazem.

– Jesteś głupie cielątko – powiedział, stojąc już w progu mieszkania. – Czy to nasza wina, że w sklepach nie ma papieru? Państwo zawiniło, niech nam teraz państwo da.

Spojrzała na niego tymi swymi trochę skośnymi oczami i odparła, unosząc brwi:

– Darowizny i jałmużny nie chcę od nikogo. Nawet od cesarza chińskiego.

– A od Mao Tse-tunga?

– Chyba kwiaty – uśmiechnęła się. – Albo tomik poezji.

Tego samego dnia kupił papier w jakimś małym sklepiku na Pradze i więcej o całej sprawie nie było mowy. Ale Jan pamiętał.

Westchnął i poszedł otworzyć drzwi, bo ktoś zadzwonił. Maria ze ścierką w ręce uciekła do kuchni. Nie lubiła gości w trakcie domowej roboty. To był jednak tylko sąsiad, nauczyciel Słoński, z prośbą o pożyczenie obczązek. W żaden sposób nie mógł otworzyć słoika z dżemem, a bał się rozbić kruche szkło.

– Wie pan, to cholerne zamknięcie – skarżył się, pokazując zaczerwienione palce. – Próbowałem już noża, młotka, widelca i nic. Tyle razy już o tym pisali w gazetach, wyśmiewali, a niewiele pomogło. Pani Marysiu, może pomidorki z działki? Tanio policzę – uśmiechnął się.

– Chętnie, panie Zygmuncie – wyszła do przedpokoju. – Takich jak u pana w ogródku to w całej Warszawie nie ma. Wezmę z dziesięć kilo, zrobię w butelkach na zimę. Zaraz do pana przyjdę.

– Ja przyniosę, co pani będzie dzwigać. Wiecie państwo, miałem niedawno temu w szkole zabawną historię...

– Proszę do pokoju, dzieciaki już śpią – zapraszał Wilczyński. Był rad, że na jakiś czas przestanie myśleć o tamtej sprawie.

– No więc, jak państwo wiecie, od września wykładam rosyjski w szkole obok przystanku. Jak to czasem bywa, nie mogłem jakoś rozgryźć swoich uczniów. A mam takiego jednego, Andrzeja, którego ojciec jest profesorem w Instytucie Fizyki. Któregoś dnia chłopak nie odrobił zadania. Pytam, dlaczego. Wstał i mówi tak: „Nie zdążyłem, bo pomagałem ojcu odnosić z instytutu do domu sepulki”.

– Co odnosiłeś? – pytam ze zdziwieniem.

– Sepulki – odpowiada i patrzy na mnie, wiecie, jak na głupiego, który pyta o rzecz zupełnie oczywistą. Ja patrzę na klasę. Chłopaki siedzą sztywno, dziewczęta chichoczą. Czuję, że ten Andrzej mnie straszliwie nabiera, ale nie wiem, w czym rzecz.

– Dobrze – mówię. – Siadaj.

Po lekcji łapię w nauczycielskim pokoju naszego fizyka, opowiadam mu o wszystkim i pytam co to są te cholerne sepulki. A ten w ryk. Śmiał się tak, że go nie mogłem uspokoić. Wreszcie mówi:

– Pożycz pan sobie z biblioteki „Dzienniki gwiazdowe” Lema, to będziesz wiedział.

Dobrze, że przed rozmową wymusiłem na nim słowo, że wszystko zostanie między nami, bo by roztrąbił po całej szkole. No, nic. W bibliotece szkolnej oba egzemplarze były w czytaniu, więc poszedłem do miejskiej, w której wypożyczam książki. Właśnie ktoś przy mnie oddawał, więc wziąłem i zaniósłem do domu. Czytałem do trzeciej rano. Uśmiełem się z samego siebie, bo kawał był dobry, co tu gadać. Ale poczekaj – pomyślałem sobie. – Już ja cię też kiedyś zagnę.

Pamięć mam dobrą, toteż zapamiętałem z książki niejedno. I proszę was, tydzień temu Andrzej znów nie odrobił zadania. Pytam, dlaczego. Wstaje i mówi: „Nie zdążyłem, bo musiałem pomóc ojcu odnosić z domu do instytutu sepulki”. Patrzę na klasę, a tu dziewczyny i chłopaki już się zaczynają dławic ze śmiechu. Patrzę na Andrzeja i pytam go zupełnie spokojnym głosem:

– A nie spotkałeś tam gdzie po drodze ośmiolów skowytnych?

Mówię wam, mój Andrzejek poczerwieniał, parsknął śmiechem i spuścił głowę. Klasa na chwilę jakby zamarła. A potem wybuchła takim wrzaskiem, że długo nie mogłem ich uciszyć. Od tej pory patrzą we mnie jak w bóstwo i uczą się jak szatany. A tego chłopca, to wiecie państwo, nazywają teraz „ośmiółem skowytym”...

Rozdział 2

– Można, panie kierowniku?

Michalak spojrział w stronę drzwi, a ujrawszy Wilczyńskiego, skinął głową i mówił dalej do słuchawki: – Cała rzecz w tym, panie prezesie, że brak nam ludzi... Nie, ja myślę o Garbarni-A. Na przykład teraz z magazynu skór surowych musiałem, to jest musieliśmy oddalić Zawadzkiego, magazyniera... No, do Garbarni-B, ale na inne stanowisko... Tak, to ten sam. Pan prezes pamięta, jak on... No, właśnie. Nam potrzebny jest na tym stanowisku człowiek zdecydowany i energiczny.

Rzucił okiem na stojącego przed biurkiem Wilczyńskiego, ruchem ręki wskazał mu krzesło i skończył rozmowę: – Oczywiście, że znajdę... Nie, nie potrzeba przysyłać. Moje uszanowanie, panie prezesie. Do widzenia.

– Słucham pana – zwrócił się do referenta. – O co chodzi?

Michalak był niski, dobrze zbudowany, krępy, patrzył zawsze prosto w swym wysokim krześle za biurkiem i wyraźnie czekał. Robił wrażenie człowieka twardego, surowego i takim był.

Wilczyński nerwowym ruchem obciągnął rękawy marynarki. Mimo iż poprzedniego wieczoru długo przygotowywał się do tej rozmowy, nie wiedział teraz jak zacząć. Myślał, że Michalak jakoś sam mu to ułatwi, uśmiechnie się, pierwszy coś napomknie o magazynie.

Ale kierownik administracyjno-gospodarczy siedział sztywno, prosto w swym wysokim krześle za biurkiem i wyraźnie czekał. Robił nawet wrażenie trochę zniecierpliwionego. Wilczyńskiemu przyszło nagle na myśl, że – być może – Michalak nic nie wie o powodach, dla których on chciałby objąć nowe stanowisko. Być może stoi w ogóle poza machinacjami Olańskiego. W takim razie należało bardzo uważać na każde zdanie.

– Panie kierowniku – zaczął, ostrożnie dobierając słowa – czy nie można by... chciałbym bardzo... to jest, czy pan kierownik mógłby się zgodzić, żebym...

Michalak przyglądał mu się spod oka i myślał, że to dobrze, iż tamten jest taki niepewny i nieśmiały. Przynajmniej nie będzie żądał zbyt wiele. Głupie parę kawałków na początek powinno go zadowolić.

– No, no? Słucham.

Nie zachęcał go umyślnie. Niech się sam przełamie. Olański zwykle miał dobrego nosa. Zobaczmy, czy i tym razem.

– Chciałbym przejść do pracy w produkcji – powiedział Wilczyński z nagłą determinacją. – Może na początek jako magazynier.

– Po co?

– Proszę? – zdziwił się referent. Na takie pytanie nie był przygotowany.

– Pytam: po co chce pan przejść do pracy w produkcji. Chce pan więcej zarabiać? Ale czy pan się zna na skórach?

– Znam – odparł trochę zbyt pewnym tonem. Postanowił iść na całego. Wierzył zresztą, że Olański mu pomoże.

– Chodziłem nieraz do magazynu, przyglądałem się skórcom. Oczywiście, w tej chwili lepiej orientuję się w skórach surowych niż gotowych.

– Na stanowisku magazyniera skór surowych – zaczął Michalak z namysłem – potrzebny jest ktoś, kto chociaż pobieżnie zna się na procesie garbowania. Wie pan coś na ten temat?

Wilczyński uśmiechnął się lekko. Był to uśmiech pełen pobłażania dla interlokutora i Michalak chrząknął ze zdumieniem.

– Miałem przecież ojca garbarza. Mogę opowiedzieć to i owo o garbowaniu chromowym, żelazowym, siarkowym czy chromowo-roślinnym. Znam się na natłuszczaniu skór, suszeniu, barwieniu, na wadach i uszkodzeniach skóry, na lakierowaniu, na wyprawie chromowej kruponów świńskich... – cytował tytuły rozdziałów z podręcznika garbarstwa.

– Dostyc, to mi wystarczy – przerwał Michalak oszołomiony. Olański uprzedził go, że referent nie ma zielonego pojęcia o skórach, a tu okazało się, że majster nie miał pojęcia o swym kandydacie.

– Na przykład, pęknięcie lica skóry wyprawionej – ciągnął Wilczyński, jakby nie słysząc – może być w równym stopniu spowodowane nieodpowiednim sposobem wytrawiania jak i samoczynnym zagraniem się surowca w składach czy podczas transportu. Prawda?

Spojrzał na kierownika z wyższością. Było to zdanie dosłownie wyjęte z „Technologii garbarstwa” Edwarda Krzywickiego. Poprzedniego dnia wyuczył się kilku, na chybił-traf wyrwanych terminów, aby olśnić nimi swego rozmówcę, co mu się zresztą w zupełności udało. Michalak był niemal wstrząśnięty. Taki spec marnował się dotychczas za biurkiem.

– Od kiedy chce pan pracować w produkcji? – spytał, szukając czegoś w szufladzie biurka, aby ukryć zmieszanie. – Pierwszego odchodzi z magazynu skór surowych Zawadzki. Może pan iść na jego miejsce, o ile to panu odpowiada? – zawiesił głos wyczekująco. Z nagłą przestraszył się, że tamten zażąda stanowiska naczelnego inżyniera, co wcale nie leżało w planach.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI